

Elżbieta Borek

DLA DOBRA (niemieckiego) DZIECKA

Kilkanaście dni temu, 13 listopada br., przed sądem w Wiedniu odbyła się rozprawa przeciwko Wojciechowi Pomorskiemu, obywatelowi polskiemu, od kilkunastu lat mieszkającemu w Niemczech. Pomorski już pięć lat walczy z niemieckimi urzędnikami o możliwość kontaktu ze swoimi córkami – dziś 8-letnią Iwoną i 10-letnią Justyną. Gdy w 2003 r. zostały one uprowadzone z domu przez ich matkę – poprosił o pomoc Jugendamt – niemiecka organizacja, zajmująca się ochroną praw dzieci.

– Skąd miałem przypuszczać, że jest to najgorsza rzecz, jaką mogłem zrobić – mówi dziś Pomorski. – Owszem, urzędnicy znaleźli moje córki, ale tylko po to, by mi je odebrać.

Na rozprawie rozwodowej sąd rodzinny zezwolił mu na widzenia z córkami – raz na dwa tygodnie, zawsze w obecności urzędnika Jugendamtu. Na dodatek rozmowy miały przebiegać w języku niemieckim, choć w domu ojciec rozmawiał z córkami po polsku. Kiedy pan Wojciech Pomorski się zbuntował, Martin Schroeder, urzędnik Jugendamtu, powiedział: „Będziecie mówić po niemiecku albo spotkanie nie odbędzie się wcale”.

No więc nie odbyło się. W oficjalnym piśmie napisano: „Z przyczyn fachowo-pedagogicznych nie jest w interesie dzieci, żeby kontakt z nimi odbywał się w języku polskim. Dla dziecka korzystne jest tylko rozwijanie języka niemieckiego, ponieważ wzrasta ono w tym kraju, tutaj chodzi lub będzie chodzić do szkół”.

W wewnętrznej korespondencji urzędu, do której dotarł Pomorski, pan Schroeder, odpowiadając urzędnicze, która była zdania, że ojciec może rozmawiać z córkami po polsku, jeśli spotkania będą nadzorowane przez dwujęzyczną urzędniczkę, pisze: „Jeżeli Pomorskiemu zezwolimy mówić po polsku z jego córkami, to przedstawiciele wszystkich narodowości w Niemczech będą chcieli mówić w swoich językach”.

W ubiegłym roku sąd zgodził się w końcu na widzenie ojca z córkami i na rozmowę w języku polskim. Niestety, było za późno, bo matka uciekła z nimi do Austrii.

– I tak nic by z tego nie wyszło, bo moje córeczki, które mają obywatelstwo polskie i od wczesnego dzieciństwa były dwujęzyczne, nie potrafią już rozmawiać po polsku. Zostały całkowicie zgermanizowane i zdepolonizowane – mówi Wojtek.

POMORSKI NIE JEST JEDYNĄ OFIARĄ JUGENDAMTU.

W kwietniu tego roku pisaliśmy na naszych łamach o małżeństwie Mosebach z Berlina. Beata, Polka, wyszła za mąż za Niemca Michaela. Urodził się im syn – Jan. Kiedy macek miał dwa lata, ojciec, pod nieobecność żony, uprowadził syna do wynajętego w tajemnicy przed nią mieszkania.

– Poinformował mnie o tym przez telefon, dzwoniąc do pracy – opowiadała Beata podczas spotkania z reporterką, zaszczona, ubrana w perukę. Od kilku miesięcy ukrywa się przed mężem, policją i Jugendamtem, bo uciekła z Niemiec, zabierając z sobą syna.

Mówi, że tamtego dnia, po telefonie męża, rzuciła wszystko i pojechała do domu.

– Na miejscu okazało się, że oprócz dziecka zabrał także cały nasz wspólny dorobek. Mieszkanie było puste. Wyłączył mi także wszystkie media.

Gdy w panice biegła do domu, starczyło jej na tyle rozsądku, żeby wstąpić do adwokata. Poradził, żeby koniecznie wniosła do sądu sprawę o wydanie dziecka. Zrobiła to. Niestety, wszystko się przedłużało, bo musiała odtwarzać dokumenty, które mąż zabrał, m.in. metrykę urodzenia synka.

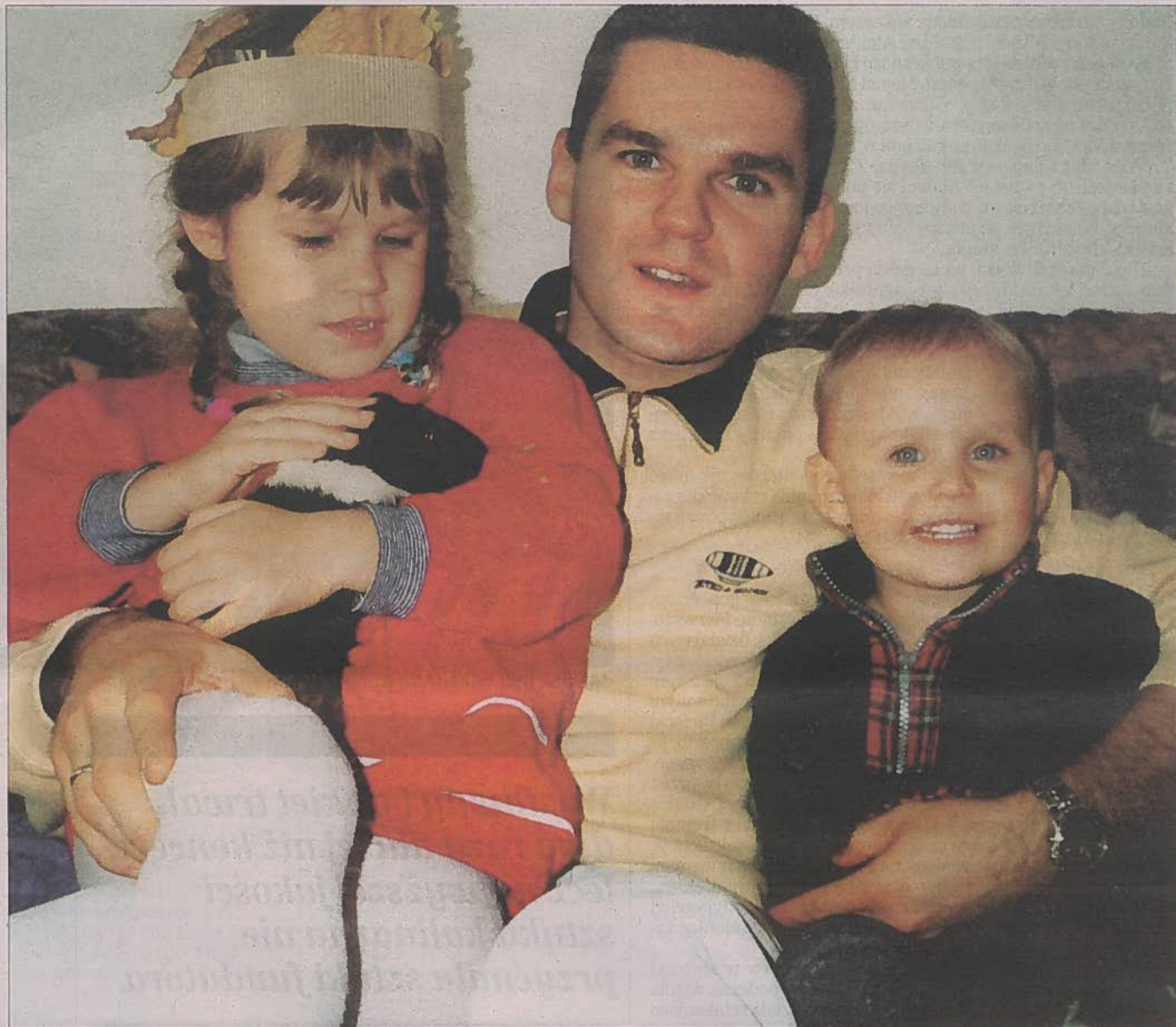
Wtedy stało się dla niej jasne, że maż wszystko ukartował. Kiedy już zabrał synka, nie zezwalał matce na spotkania. Na rozprawie sądowej, bez protokolantów, bez przesłuchania, tylko na podstawie orzeczenia psychologa z Jugendamtu, sąd powierzył ojcu opiekę nad Jasiem. Beacie przyznano trzy widzenia w tygodniu po 3 godziny. Termin ostatecznej rozprawy przesunięto na luty br. W tym czasie rodzinę miał obserwować psycholog.

Na pytanie, czy na orzeczenie sądu miał wpływ fakt, że Beata jest Polką, odpowiada: – Oczywiście. Dziś jestem o tym przekonana. Znałem mi jest co najmniej 80 spraw, kiedy polscy rodzice zostali bezprawnie i bezpodstawnie pozbawieni praw do dziecka, a nawet rozmowy z nim po polsku. Nie mogłam czekać, aż to samo spotka nas. Po wstępnym orzeczeniu sądu już wiedziałam, że

NIE MA CO LICZYĆ NA SPRAWIEDLIWOŚĆ.

Długo jednak trwało, zanim Beata zdecydowała się zachować niepraworządnie.

– Rodzina w Polsce próbowała mi uświadomić, że Niemcy odbiorą dziecko. Nie chciałam tego słuchać. Mieszkałam przeciw w tym kraju od kilkunastu lat, tu miałam dom i pracę, a Niemców znałam jako wyjątkowo praworządny naród. Dla świętego spokoju zadzwoniłam do Wojciecha Pomorskiego, bo wiedziałam, że jest prezesem polskiego Stowarzyszenia „Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech”. To był przełomowy telefon – wspomina – On miał doświadczenie i znał wiele różnych przykładów. Opowiedział mi o kilkunastu przypadkach, w których rodzice z mieszanych małżeństw stracili swoje dzieci.



– PRZYKŁADÓW JAWNEJ DYSKRYMINACJI POLSKICH RODZICÓW, UDOKUMENTOWANYCH W URZĘDOWYCH PISMACH, MOGĘ POKAZAĆ DZIESIĄTKI. A ZASTRASZANYCH LUDZI SĄ TYSIĄCE – TWIERDZI WOJCIECH POMORSKI. – NIESTETY, NIKTÓRZY Z NICH ZBYT SZYBKO DAJĄ ZA WYGRANĄ. JA SIĘ NIGDY NIE PODDAM. KOCHAM MOJE CÓRKI I NIE CHCĘ, BY KIEDYS ZAPYTAŁY (NIESTETY, PO NIEMIECKU): DLACZEGO O NAS NIE WALCZYŁEŚ, TATO? FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Każde dziecko i każda rodzina (również obywatele państw obcych), przebywająca na terenie Niemiec, z mocy prawa, automatycznie, podlegają kontroli lokalnego Jugendamtu. Dziecko może być w każdej chwili zabrane rodzicom, bez podania przyczyn i z zatajeniem miejsca przetrzymywania. A sąd bywa o tym powiadamiany dopiero po fakcie.

W dniu, kiedy przypadał przyznany jej sądowo dzień widzenia z synkiem, zabrała go z przedszkola i, tak jak stała, pojechała z nim do Polski.

– Nie uprowadziłam go, tylko wróciłam do ojczyzny. Niemiecki sąd nigdy nie odebrał, a nawet nie ograniczył mi praw do Jasia, dlatego trudno mówić o uprowadzeniu. Zdecydowałam się na ucieczkę, żeby na zawsze nie odebrano mi synka. Musiałam go ratować przed nieuchronnym zniemczeniem – mówi Beata.

Dlaczego się przebiega i ukrywa? To proste: mąż, z pomocą Jugendamtu, wytropił ją w Krakowie. – W rozmowie ze mną zapewniał, że ma pokojowe zamiary, ale równocześnie przyjechał tu z niemiecką telewizją i chęcią uprowadzenia synka, jak tylko go znajdzie. Ludzie pana Mosebacha ścigali taksowkę Beaty i Jasia, a kiedy sprowadziła telefonicznie przyjaciół, by pomogli jej się przesiąść i ukryć, doszło do sceny jak z sensacyjnego filmu. Na parkingu Galerii Kazimierz musiała krzykiem wzywać pomocy ochroniarzy, by umknąć pościgowi „pokojowo” nastawionego ojca.

TRAGICZNY PRZEBIEG

ma historia Elżbiety i Zenona Nyksów oraz ich dzieci. Małżonkowie poznali się kilkanaście lat temu, gdy pani Ela przyjechała do Ludwigsburga. Jej mąż pochodzi z Polski, ale jest obywatelem Australii. Nigdy, ani oni, ani ich dzieci: Patryk i Jacqueline, nie przyjęli obywatelstwa niemieckiego.

O tym, że dzieci cierpią na mukowiscydozę – śmiertelną chorobę genetyczną – dowiedzieli się, gdy Patryk miał 8 lat, a jego siostra 5. Ponieważ chłopiec był w bardzo ciężkim stanie, rodzice rzucili pracę, by poświęcić swój czas opiece nad nimi.

Lekarze z kliniki w Ludwigsburgu od początku namawiali